



ARTYSTE *trzeba* TULIĆ

Rozwiodłam się za prababcie, babcię, matkę i za siebie.
Przerwałam tę sztafetę pokoleń

z ZUZANNĄ ŁAPICKĄ rozmawia MICHAŁ NOGAŚ



acznijmy od deklaracji. Będzie szczerze jak na spowiedzi?

– Tak. Budzi pan zaufanie.

Zatem: dlaczego przez tyle lat nie słuchała pani Janusza Głowackiego, który wręcz zmuszał panią do pisanie?

– Uważałam, że nie mam talentu pisarskiego, a jedyne, co potrafię, to opowiadać anegdoty. Wydaje mi się zresztą, że właśnie w tym kierunku od zawsze się kształciłam.

Co to znaczy?

– Gdy byłam małą, o wiele bardziej interesowały mnie rozmowy przy stoliku dorosłych niż zjeżdżalnia czy zabawa z rówieśnikami w piaskownicy. Właściwie całe dzieciństwo spędziłam przy takich stolikach. W Chałupach, w Związku Literatów Polskich, w SPATiF-ie. Słuchałam i uczyłam się opowiadać – miało być szybko i z puentą.

Tadeusz Konwicki, przyjaciel mojego ojca, był mistrzem świata w tej dziedzinie i gdy ktoś za długo przemawiał, on poganiał ręką, żeby już zmierzać do finału. Gromadziłam w sobie te wszystkie anegdoty i dzieliłam się z przyjaciółmi. Kiedy Głowacki raz za razem przekonywał mnie: „Zuziu, pisz, a nie opowiadaj”, myślałam, że nie wypada, że to przecież prywatne opowieści.

Niecałe dwa lata temu Głowa spotkał mnie na ulicy, to było wkrótce po tym, jak usłyszałam okrutną diagnozę. Rak. Zmartwił się i od razu: „Pisz książkę, bardzo cię proszę, to musi być twój głos”. Wtedy pomyślałam, że to już czas. Bo przecież, gdy człowiek umiera, to jedynym, co po nim zostaje – mówiąc szczerze – są dwie, trzy dobre anegdoty, kilka ciepłych wspomnień.

Ja całe życie – świadomie – byłam w cieniu artystów, ale dzięki temu byłam świadkiem setek ciekawych zdarzeń, postanowiłam je zanotować. To, co widziałam jako córka aktora, żona aktora, przyjaciółka aktorów i reżyserów, asystentka, kierowniczką w teatrze i telewizji. Całkiem sporo się tego w sumie nazbierało.

Świadomie wybrała pani życie w cieniu innych?

– Od dziecka widziałam, co oznacza bycie artystą. Wieczne zmagania, wieczne niespełnienie, wszystko okupione niepokojem i nieustannie poddawane ocenie. Ojciec mnie prawie błagał, żeby mi

nigdy do głowy nie przyszło zostać aktorką. Mama bardzo go w tym wspierała – dodawała, że aktorka musi mieć urodę i bez ogródek dawała mi do zrozumienia, że nie mam się po co pchać na scenę.

Dziś jestem im za to obojgu wdzięczna, oszczędzili mi wielu upokorzeń. Bo mnie się bycie twórcą głównie z tym właśnie kojarzy.

Mówi to pani jako wieloletnia obserwatorka pozascenicznego zachowania Andrzeja Łapickiego?

– I jego znajomych. Tam nic nie było za darmo, nawet sukces był szeroko komentowany i od razu poddawany surowej ocenie. Ojciec bardzo przeżywał wszystkie recenzje. Potrafił całymi dniami chodzić nieszczęśliwy, bo ktoś gdzieś napisał jedno nieprzychylnie zdanie.

Ale już jako nastolatka wiedziałam, że za żadne skarby nie pójść pracować do biura czy banku. Złapałam bakcyła artystycznego świata i chciałam w nim funkcjonować, ale na drugim lub nawet trzecim planie. Przez dziesięć lat byłam kierownikiem literackim w teatrze u Andrzeja Strzeleckiego, potem w Telewizji Polskiej, gdy była jeszcze jako tako znośna. Udawało mi się, bo miałam własną, latami podpatrzoną instrukcję obsługi artystów.

Która brzmiała jak?

– Artystą na początku trzeba się zachwycić. Bo on inaczej wiednie.

Objąć?

– Objąć, bo to są ludzie niepewni. Zachwyt jest sprawą konieczną. Przecież sukces Andrzeja Wajdy, to, że u niego grali najwięksi, polegał właśnie na tym – co jako żona Daniela Olbrychskiego wielokrotnie widziałam – że on na planie nie patrzył w monitor, ale na aktorów i się nimi zachwycił, nawet gdy coś szło nie tak. I w taki delikatny sposób się do nich zwracał.

„Pięknie, pięknie! Tylko, wiesz, tu jeszcze coś lekko zmień i będzie wspaniale”. Który reżyser dziś tak pracuje z aktorami? Podglądałam Wajdę i innych, a potem udało mi się do telewizji zaprosić najbardziej opornych twórców. Byłam ich opiekunką i terapeutką. **Proszę wymienić tych najciekawszych dorosłych z pani „kręgu”. To nie musi być od razu sto nazwisk...**

– To może skupię się na wakacjach w Chałupach? Spotykaliśmy się tam co roku. Przy stolikach siadali Konwiccy – Tadeusz i jego żo- »

na Danuta, graficzka, ilustratorka książek, siostra Jana Lenicy. On zresztą też przyjeżdżał z ówczesną żoną Teresą Byszewską. Był Henryk Tomaszewski, wybitny grafik, była Teresa Pagowska, nasz polski Francis Bacon, wspaniała malarka. Siadywał z nami Janusz Warmiński, dyrektor Teatru Ateneum, siadywała królowa Aleksandra Śląska, Kalina Jędrusik ze Stanisławem Dygatem, byli Teresa i Andrzej Trzaskowscy z małym synkiem Rafałem, Erwin Axer, Janusz Głowacki, utalentowane malarki siostry Wahl. Przyjeżdżali Kazimierz Kutz i Jan Englert. Ma pan rację, długo by wymieniać, uzbierałaby się setka...

Zachowały się z tamtych czasów zabawne zdjęcia ze spotkań całego tego towarzystwa w Cafe Zatoka. Robili tam przegląd prasy. W pewnym momencie w Chałupach pojawił się wreszcie kiosk Ruchu, ktoś pędził więc o poranku po gazety, a potem wspólnie zasiadali nad „Trybuną Ludu”, jakby to był co najmniej „New York Times”, i komentowali artykuły.

Strach pomyśleć, jak wyglądały te poranki przed pojawieniem się kiosku.

– Wszystko było obmyślane. Mój dziadek Borys Łapicki, profesor prawa rzymskiego z Łodzi, w tym samym mniej więcej czasie spędzał wakacje w pensjonacie w Juracie. Robił zapasy, a potem wracając do Warszawy, wyrzucał z okna pociągu, który nie zatrzymywał się w Chałupach, paczkę gazet dla mojego ojca. A potem cała ekipa zbierała się, by czytać „Przekrój” czy „Ty i Ja”. Mnie ta miłość do papieru została do dzisiaj, nie umiem czytać prasy w sieci.

Mała Zuzia przyglądała się przez wiele lat tym wszystkim znanym ludziom i...

– Nie podejrzewałam, że można uprawiać jakiekolwiek inne przydatne ludziom zawody. Bo przecież – co bardzo niesprawiedliwe – lekarze, architekci, kierowcy autobusów, ci wszyscy, bez których byśmy sobie w życiu nie poradzili, raczej nie trafiają na tak zwany świecznik. Wszyscy interesują się głównie kolorowymi ptakami.

Z czasem zaczęłam zazdrościć koleżankom i kolegom ze szkoły, że ich ojcowie wracali do domu na obiad o 16. U nas rytm dnia był całkowicie zaburzony. Ojciec rano długo spał, więc musiałam po cichu, na palcach wychodzić do szkoły. Wracał późno, rozmawiał z mamą do 1 w nocy. Żyliśmy w dużej mierze na nocną zmianę. Czułam się, jakbym mieszkała w jakimś cygańskim taborze. Ojciec nie sprawdzał mi lekcji, nie chodził na wywiadówki, wszystko na opak.

A koleżanki czegoś pani zazdrościły?

– Urody ojca, wszystkie bardzo chciały go poznać. Ale jednocześnie ciągle śmiały się z tego, że on w filmach całuje jakieś obce kobiety, i lubiły pytać mnie na przerwach, co ja na to. Największą traumą mojego dzieciństwa były niedzielne wieczory, kiedy wyświetlano filmy, w których mój ojciec namiętnie całował się z Kaliną Jędrusik. Błagałam matkę, by pozwoliła mi nie iść w poniedziałek do szkoły.

O Kalinie Jędrusik czy o Tadeuszu Konwickim myślała pani jako o cioci i wujku?

– Tadeusz zawsze zaznaczał w kolejnych dedykacjach, że jesteśmy rodziną. Z Jeremim Przyborą byliśmy skolidaceni naprawdę – przez babkę Łapicką. Uważałam, że przyjaciele ojca to wielka rodzina, innej nie miałam, mama i tata stracili bliskich w czasie wojny. Więcej panu powiem – ja byłam przekonana że wszyscy aktorzy na świecie to moja rodzina. Pamiętam lato w Chałupach, gdy zmarła Marilyn Monroe. Towarzystwo zamarło – jak to powiedzieć Kalinie? Jędrusik przychodziła na plażę późno, koło południa, wcześniej szła po szampana do spożywczaka, mówiąc biednym Kaszubom przy ladzie, że ona się w tym napoju kąpie. A oni jej wierzyli. Gdy przyszła

wiadomość o śmierci amerykańskiej gwiazdy, wszyscy od rana zachodzili w głowę, jak delikatnie Kalinie powiedzieć, że Marilyn, którą kochała, odeszła. Obawiano się, że Jędrusik przeżyje załamanie nerwowe. Byłam pewna, że Monroe to jakaś rodzina Kaliny.

A pani mama?

– Mama nie pracowała, zajmowała się domem. Ojca to cieszyło, on był pod tym względem mocno XIX-wieczny, uważał, że miejsce żony jest przy mężu. Do końca życia był tej ideologii wierny, cytował swojego ukochanego Fredę, który głosił, że „mężczyźnie wszystko dozwolone”, a kobieta ma siedzieć i czekać. No to mama robiła obiad i zawsze bardzo się starała, by po ugotowaniu zupy odpowiednio dobrze wywietrzyć nasze 50-metrowe mieszkanko, bo ojciec nie znosił zapachów gotowania.

Bawiło mnie, że tabloidy po śmierci ojca rozpisywały się, jaki to niby wielki majątek po sobie pozostawił. A to było ciągle te 50 metrów w bloku z lat 50. Nie był zachłanny, uważał, że i tak wiele od życia dostaliśmy. Żyliśmy skromnie i choć ojciec tak dużo grał, to ja w zasadzie do dziś nie wiem, na co te pieniądze szły. Może na kwiaty dla pięknych blondynek? Na pewno też na samochody, które uwielbiał kupować, choć dla niego szczytem luksusu była Toyota. Koszule nosił szyte na miarę, miał ze dwie marynarki tweedowe, i to w zasadzie wszystko – a mówiono o nim, że jest mistrzem elegancji.

Mama każdą rozmowę telefoniczną zaczynała od słów: „Ach, Andrzej bardzo źle się czuje i w ogóle nie mamy pieniędzy”. Wiele razy prosiłam ją, by przestała narzekać, ale ona uważała, że to zaklęcie, które sprawi, że nikt nam nie będzie zazdrościł. A najbardziej bała się ludzkiej zawiści.

Przepraszam, że dopytam. Co to znaczy, że ojciec wydawał pieniądze na kwiaty dla pięknych blondynek?

– No, to chyba od dawna nie jest tajemnicą, że ojciec flirtował z aktorkami, z którymi pracował? Najczęściej, jak podejrzewam, między 17 a 19, gdy docierał do teatru, a jeszcze nie wychodził na scenę.

Okienko romansowe Łapickiego?

– Ja oczywiście nie wiem, co się działo na planach filmowych, tam go z mamą nie odwiedzałyśmy. Pewnie ku radości partnerek... Ojciec kochał, nazwijmy to eufemistycznie, flirtować, a za atrybut elegancji uważał bukiet kwiatów. Mama była od niego o dwa lata starsza, wtedy to było dużo. Wspólnie tuż po wojnie chodzili na tańce – w Łodzi i w Warszawie. Ona lubiła bawić się i potańczyć, miała wielkie powodzenie, co ojca doprowadzało do furii. Aby go trochę dowartościować, sama sugerowała nieraz, że ojciec ma jakiś romans. Chciała, by poczuł się bardziej męski. Tym samym dała mu przyzwolenie na późniejsze występkę. Z czasem nawet ja uznałam, że to naturalne!

Ale czemu się dziwić? Ojciec był najprzystojniejszym polskim aktorem, połowa kobiet się w nim kochała.

Rozmawiał z panią o pierwszych miłościach?

– Przestrzegał mnie. Kiedyś powiedział: „Wolę, żebyś szlochała z rozpacz, niż cicho płakała w poduszkę”. Długo zastanawiałam się, co miał na myśli.

Co?

– Ojciec uważał, że nie powinnam wychodzić za mąż z rozsądku, bo nuda mnie zabije. Na kolegów ze studiów tylko machał ręką. Pewnie dlatego w końcu przedstawiłam mu przyszłego zięcia, Daniela Olbrychskiego, który na pewno do nudnych mężczyzn nie należy. Gdy zaczynaliśmy być razem, w zawodowej hierarchii stał wy-



żej od ojca. Wybrałam kolorowe życie, i to życie mnie później pokarało. Łatwo nie miałam. A dziś, gdy wreszcie żaden mężczyzna mi nie zagraża, mimo choroby osiągnęłam spokój.

Co to znaczy, że żaden mężczyzna pani nie zagraża?

– Po tatusiu podobali mi się tylko przystojni i atrakcyjni. A każdy taki był zagrożeniem – mógł odejść, mógł zranić, mógł upokorzyć. Bardzo nie chciałam powtórzyć losu mamy, która całe życie podporządkowała ojcu. Lubię mówić, że rozwiodłam się za prababcię, babcię, matkę i za siebie. Przerwałam tę sztafetę pokoleń. Bez mężczyzny czuję się wyzwolona, przy mężczyźnie natychmiast wchodzę w rolę matki, staję się Piętaszkiem. Nie umiem wymagać, usuwam się w cień.

Z Danielem Olbrychskim, 1996 r.

Z przyjaciółkami Krystyną Jandą i Magdą Umer, 2008 r.

To się Danielowi Olbrychskiemu w pani spodobało?

– Jak na spowiedzi, bo tak się umówiliśmy, panu powiem. Wbrew temu, co się często mówi, Daniel nie był kobieciarzem. To mój ojciec zwracał uwagę na piękne nogi, Olbrychskiemu podobało się, gdy w oczach kobiety widział zachwyt. To wydawało mi się bardziej bezpieczne. Chociaż ostatecznie, jak wiemy, nieco się pomyliłam. Pojawiły się inne kobiety, które potrafiły się zachwycić i nasze małżeństwo po dwudziestu latach się rozpadło.

Daniel jest mężczyzną, który długo pozostaje pod wrażeniem, jakie zrobił na kobiecie. Był zaprzeczeniem ojca. Nie był też obłudny, zawsze walił prosto z mostu. Związał się z opozycją. Ryzykował wiele, mógł nie dostać paszportu, ale miał to gdzieś. Szedł do kościoła św. Anny i czytał wiersze, był odważniejszy od ojca, to bardzo mi się w nim podobało.

Ślub był we Francji.

– Zostaliśmy parą w 1977 roku, pobraliśmy się rok później. Jeździliśmy do Francji, bo Daniel – aktor Wajdy – był tam rozchwytywany. A ja, po romanistyce, byłam bardzo przydatna. Podczas pierwszego wyjazdu Daniel zaproponował: „Weźmy ślub w konsulacie”. Świadkiem miał być Wołodia Wysocki, ale nie dojechał, więc w tej roli wystąpiła Marina Vlady. Była wówczas gwiazdą światowego formatu. Powiedzieliśmy sobie „tak” w lutym 1978 roku. Wkrótce potem wróciliśmy do Polski, trzy lata po ślubie urodziłam Weronikę. Zaraz potem Jaruzelski wprowadził stan wojenny. Daniela znów wzywali do Francji, gdzie miał podpisane kontrakty. Poleciał w styczniu 1982 roku razem z Krysią Jandą. Ja zostałam, bo nie chcieli dać mi paszportu.

Mój mąż, trzydziestoparoletni Słowianin w rozkwicie urody, szybko poczuł się w Paryżu bardzo samotny i zaczęły się wokół niego krę- »

cić gwiazdy z Anouk Aimée na czele. I wtedy – nagle – przyszła wiadomość, że możemy z córką lecieć do Francji. Śmieję się do dziś, że chyba jakiś ubek czytał francuskie tabloidy, gdzie rozpisywano się o romansach Olbrychskiego. Ale w rzeczywistości to Claude Lelouch, u którego wówczas grał Daniel, działał przez Amnesty International. Ściągnęliśmy do Paryża Magdę Umer z synem, pomagali nam Krysia Zachwatowicz i Andrzej Wajda, przyleciał Rafał, syn Daniela – i pod Paryżem w wynajętym domu stworzyliśmy swoją małą ojczyznę. Okazało się, że obok mieszkała Irena Krzywicka z synem, więc przyjeżdżali do naszej miejscowości Kazimierz Brandys z żoną, Jacek Kaczmarski, Agnieszka Holland, Jacek Bierzwin z Anką Kowalską. Śmialiśmy się, że założyliśmy niczym w czasach Wielkiej Emigracji nie Hotel, ale motel Lambert.

Skręcało mnie z zazdrości, gdy opisywała pani herbatki u Rubinsteinów, gdy w kuchni siedziała pani z Nela, żoną pianisty, i Grace Kelly, księżną Monako.

– I ona pewnego dnia zaczęła mi się zwierzać, że jej córka romansuje z synem Belmondo, i co ja na to? Była bezpośrednia. Siedziała w tej kuchni Rubinsteinów – Artur uczył wtedy Daniela grać na fortepianie do roli von Karayana – w beżowej plisowanej spódnicy, perłach i w koczkach. W notesiku notowała polskie przepisy kuchenne Neli Rubinstein. Było coś wzruszającego w tym widoku. Pytała, ile coś trzeba gotować, a ile podsmażyć.

Chyba się nudziła w tym Monako...

– Na pewno. Ale w Paryżu miała mieszkanie przy Avenue Foch, tuż obok Rubinsteinów, i często do nich wpadała. Pewnego dnia siedzimy, a Artur odbiera telefon. Mówi, że dzwoni Marlena Dietrich. Zaczęła mu się chwalić, że właśnie ubezpieczyła swoje nogi na milion dolarów. Na co Artur do nas szeptem teatralnym: – Nie dałbym ani centa.

A czy w tym pełnym blichtru świecie możliwa jest pani zdaniem przyjaźń?

– Jest. Przyjaźń ojca z Konwickim, 60-letnia, była prawdziwa, wzorcową, nawet jeśli co jakiś czas prawili sobie złośliwości. Dzień nie mógł się obyć bez jednego, dwóch telefonów i wspólnej kawy. Wspólnie oglądali świat do późnej starości.

Ja od 40 lat przyjaźnię się z Krysią Jandą i Magdą Umer. Magda jest dla mnie jak siostra, poznałyśmy się przez Daniela, idziemy razem przez życie. Krysia bardziej zbliżyła się do nas po śmierci męża Edwarda Kłosińskiego, jej małżeństwo było tak udane, że ona w sumie nie potrzebowała bliskich przyjaciółek. One obie są wspaniałymi artystkami, a ja – ta dziewczyna z cienia – pełnię funkcję katalizatora. I, jak pan widzi, to się udaje. No i jeszcze Artur i Wojtek, moi przyjaciele z tak zwanego normalnego świata. Zadeedykowałam im książkę. Z pierwszym przez lata pracowałam w telewizji, drugi jest wspaniałym lekarzem stomatologiem. Są ze mną codziennie, pomagają w chorobie. Świat, szczęśliwie, nie składa się jedynie z artystów.

Co robi pani córka?

– Zaraz po maturze wyjechała do Nowego Jorku. Nie chciała powtórzyć mojego losu, osoby ciągle nazywanej „córką Łapickiego” i „żoną Olbrychskiego”. I udało jej się, jest odważną nowojorską singielką, robi karierę w przemyśle modowym, uwolniła się od rodzinnego przeznaczenia.

ZUZANNA ŁAPICKA

– romanistka, dziennikarka, felietonistka, producentka. Przez lata związana z Teatrem Rampa w Warszawie, a następnie z TVP, gdzie była szefową redakcji rozrywki i oprawy. Matka Weroniki, przez 20 lat żona Daniela Olbrychskiego, ukochana córka Andrzeja Łapickiego. Przyjaźni się z Krystyną Jandą i Magdą Umer. Właśnie ukazała się jej książka „Dodaj do znajomych”

Tęskni się?

– Bardzo. Ale miłość nie polega na tym, że kocha się dla siebie. Jest szczęśliwa w mieście, w którym ja pewnie nie umiałabym żyć. Lubię to powiedzenie: „Daj korzenie, a potem skrzydła”. Mam wrażenie, że mi się to udało.

Już po rozwodzie, a jeszcze przed wyjazdem córki związała się pani z Telewizją Polską. Potrafiła się pani tam odnaleźć?

– Z początku nie, ale nie miałam wyjścia. To były zupełnie inne warunki od dotychczasowych – teatralnych, cieplarnianych. Rozwiodłam się z Danielem na moją prośbę. Nie wypadało mi być na jego utrzymaniu. A w teatrze dostawałam na rękę 800 złotych, ciężko było za to przeżyć. W TVP zlecono mi przygotowywanie programów kulturalnych, ale one – w nowej rzeczywistości – zaczęły zniknąć jeden po drugim. Bo to się nie sprzedawało. Spełniły się słowa Agnieszki Osieckiej, z którą lata temu oglądaliśmy we francuskiej telewizji jakieś beznadziejne teleturnieje i variétés. Mówiła: „Zobaczysz, że to do nas przyjdzie”. No i przyszło... Zaczęłam produkować te no-

we kolorowe formaty, które być może nie do końca mi pasowały, ale podchodziłam do tego profesjonalnie. Trzeba było zrobić festiwal w Opolu i mieć pięć milionów widzów – proszę bardzo, robiłam.

W tej upolitycznionej instytucji nigdy zbyt łatwo nie było, udało mi się przeżyć różne opcje, ale ostatniej nie byłam już w stanie wytrzymać. Do tego doszła choroba.

Najpiękniejszy moment w Telewizji?

– A to mnie pan zdziwił tym pytaniem.

Nie byłam jeszcze na etacie, gdy robiłam w Opolu z Magdą Umer – jako jej asystentka – koncert „Zielono mi”. To było w 1997 roku, zaraz po śmierci Agnieszki Osieckiej. Bałyśmy się tego amfiteatru, nie wszyscy byli przekonani, że należy to robić tak od razu. Magda cała się trzęsła, kazała mi być ze sobą na scenie, a nie za kulisami: „Musisz mnie trzymać za rękę, bo ja tam umrę. Przecież to nie jest widownia piosenek Agnieszki”.

Pomyliła się.

– Też tak uważam, na pewno pan pamięta, co się działo, gdy Ania Szałapak śpiewała „Chwalmy Pana”. Cały amfiteatr stał, śpiewał razem z nią, rytmicznie klaskał. To było niesamowite, jak gdyby UFO wylądowało w Opolu.

Pamiętam, że po koncercie siedziałam z Magdą w jej pokoju w hotelu i ona bez przerwy przez godzinę płakała. Byłyśmy szczęśliwe, że to się udało.

Czy grupa wykonawców męskich naprawdę upiła się tego wieczoru na scenie, co sugerował przekaz z bezlitosnych kamer telewizyjnych?

– Troszkę. Kruszonem, nie ponczem. Nie będę tu winić inspijentów, któryś z artystów musiał coś dolać... Pamiętam doskonale te „przebitki”, o których pan mówi, ale dzięki temu to wszystko było takie prawdziwe. To było bardzo w stylu Agnieszki, gdyby była z nami na scenie, też by się pewnie lekko wstawiła. Myślę, że jej duch był w tym kruszonie.

Ten opolski koncert to było jedno z wielu pożegnań z przyjaciółmi. Za kim pani tęskni najbardziej?

– Bardzo tęsknię za Tadeuszem Konwickim, ciągle chcę wpaść do Bliklego, żeby z nim porozmawiać przez chwilę. Niby był mrukiem, a takie od niego było niebywałe ciepło.

Tęsknię za Januszem Głowackim. I choć nie widywaliśmy się za często, czułam jego uważne spojrzenie skierowane w moją stronę.

Tęsknię za Agnieszka. Nie tylko za człowiekiem, ale i za jej talentem. Ileż ona by dzisiaj miała tematów do opisanego! Cierpiące drzewa w Białowieży, współczesnych biznesmenów, miłość w czasach tej naszej obecnej zarazy. O, za Jeremim Przyborą też tęsknię – on też nauczył mnie tego, że świat wewnętrzny, duchowość są najistotniejsze, tylko to odróżnia nas od innych, od każdego innego człowieka.

I rodzice, to naturalne. Ojciec mi zawsze mówił, gdy rozmawialiśmy przez telefon: „Wszystko będzie dobrze”. Bardzo mi tego brakuje.

Rozumiała pani ostatnie życiowe decyzje taty?

– Nie byłam jakoś specjalnie zachwycona, ale wiedziałam, dlaczego postanowił ożenić się z młodszą od siebie o ponad pół wieku kobietą. On po prostu odrzucał starość. Dla niego to było upokorzenie, na które się nie godził. Jak to kiedyś napisał Czesław Miłosz: „Przemijanie – jestem przeciw”.

To było dość brawurowe, ale myślę, że wynikało też z ogromnej samotności ojca po śmierci mojej mamy, bo choć ja bardzo starałam się przy nim być, nie byłam w stanie zastąpić mu żony. A on żądał obecności non stop, tak jak to kiedyś zapewniała mama. Ożenił się z młodą dziewczyną, która – co normalne – miała swoje zawodowe ambicje, a to się ojcu za szczególnie nie podobało. Jak napisałam we wstępie do „Dzienników” ojca, które niedawno się ukazały, jego nieuchronne rozczarowanie tym małżeństwem wynikało z tego, że dziś nie ma już kobiet skrojonych na XIX-wieczną modłę. Ale jeśli jeszcze przez jakiś czas był szczęśliwy, to dlaczego miałabym to oceniać?

A za Krzysztofem Kieślowskim? Tak pani pięknie pisze w książce o waszej wieloletniej znajomości, wręcz przyjaźni.

– Bardzo. Być może w ogóle powinnam wymienić go jako pierwszego? Wydaje mi się, że on tam gdzieś nade mną czuwał cały czas. Powiedział mi kiedyś: „Ty jesteś dobrym człowiekiem i dobrą bohaterką na film, ale dobrego człowieka tak trudno zagrać”... Straszliwie mnie te jego słowa ucieszyły, bo ja często szpanowałam, udawałam cyniczną, bo tak może w tym środowisku było trzeba, a on zajrzał głębiej. Mówił zawsze mało, ale w punkt. Myślę, że dostrzegał znaki, których inni nie byli w stanie zauważyć, tak mocno zwracał uwagę na sprawy metafizyczne, że aż go to męczyło.

Przez wiele lat rozmawialiśmy często i zapewne dzięki temu ja tak szybko zrozumiałam, dlaczego on w Cannes powiedział, że przestaje robić filmy. Wtedy w konkursie głównym był jego „Czerwony” i wszyscy byli przekonani, że Krzysztof otrzyma Złotą Palmę. Ale jury nagrodziło Quentina Tarantino. Kieślowski wtedy zrozumiał, że to przełom, że do głosu dochodzi na świecie zupełnie inne kino. I on się z tym kinem ścigać nie będzie.

Nie zapytałam pani jeszcze o to, czy czuje się pani patriotką.

– Tak. Ale mój patriotyzm to – jak mówiła Agnieszka Osiecka – tęsknota za ławeczką w Alejach Ujazdowskich, a nie jakiś ruch polityczny czy konkretny przywódca mniej lub bardziej utalentowany. I mój patriotyzm to tęsknota za tymi wspaniałymi ludźmi, którzy odeszli. Za Januszem Głowackim idącym Krakowskim Przedmieściem w Warszawie. ●